

Jakub Gburzyński

URODZONY WOLNY



URODZONY WOLNY

Jakub Gburzyński

2022

Copyright © Jakub Gburzyński 2022

Projekt okładki:
Dawid Duszka

ISBN: 978-83-965885-3-1

WWW.URODZONYWOLNY.PL

&

WWW.YOUTUBE.COM/@JAKUBGBURZYNSKI

[Kup książkę](#)

SPIS TREŚCI

	Prolog	4
Rozdział I	Podróże poza ciałem	8
Rozdział II	Piekło w głowie	25
Rozdział III	Strach	38
Rozdział IV	Psychika duszy	55
Rozdział V	Lek na bezsenność	73
Rozdział VI	Sens życia	91
Rozdział VII	Bóg i Wieloświaty	108
Rozdział VIII	Trening czyni mistrza	132
Rozdział IX	Wątpliwości	163
Rozdział X	Miłość	183
	Epilog	197

PROLOG

Czy zastanawiałeś(-łaś) się kiedyś, jakie to uczucie żyć bez strachu? Bez cierpienia, stresu i napięcia? W spokoju, szczęściu i miłości? Czy odpowiedziałeś(-łaś) sobie kiedyś na pytanie, czym jest Twoje życie i dlaczego nie zawsze toczy się po Twojej myśli? Czy próbowałeś(-łaś) odgadnąć kiedyś sens własnego istnienia?

Według statystyk sporządzonych jeszcze przed wydarzeniami zainicjowanymi w marcu 2020 roku aż co czwartego mieszkańca naszej planety w większym bądź mniejszym stopniu dotyka nerwica, co dziesiąty człowiek na świecie cierpi na depresję i tyle samo ludzi skarży się na przewlekłą bezsenność, bezsenność okresowa to problem co trzeciej osoby, stresu, napięcia i lęku rzadziej lub częściej doświadczają w życiu każdy z nas.

Nie ma ludzi niezniszczalnych ani całkowicie odpornych na „psychiczne kontuzje”. Niezależnie od tego, czy na świecie panuje pokój lub trwa wojna, czy kwitnie gospodarka lub ciągnie się jej kryzys, czy utrzymuje się stabilność polityczna lub szaleje rewolucja i społeczna zawierucha, czy przyrodą zawiaduje ład i harmonia lub szerzy się klęska żywiołowa, czy mamy pracę lub narzekamy na jej brak, czy zakochujemy się szczęśliwie lub dostajemy przysłowiowego kosza, czy jesteśmy bogaci czy biedni, zdrowi lub chorzy, naszym ziem-

skim wędrownikom towarzyszy nieustające pasmo perypetii; spraw, które szukają pozytywnego zakończenia, problemów, które wymagają rozwiązań, wyzwań, które czekają, by zostać podjęte.

Niektóre nieszczęścia i życiowe bolączki bywają trudne do przezwyciężenia, nie rozwiązuje ich bowiem ani czas, ani dobre słowo. Gabinety psychoterapeutyczne pękają więc w szwach, a półki w aptekach uginają się pod naporem pigułek nasennych oraz preparatów na zaburzenia psychiczne, zaburzenia, których leczenie często trwa długo i ciągnie się latami. Każdy, kto zmaga się z utrapieniami w rodzaju depresji, nerwicy czy bezsenności marzy o prostych, skutecznych i uniwersalnych sposobach na poradzenie sobie z nimi. Wielu zadaje sobie pytanie: „czy takie sposoby w ogóle istnieją?”.

Nie jestem lekarzem ani naukowcem. Nigdy nie studiowałem medycyny ani psychologii (choć tej drugiej jestem wielkim fanem). Nie obawiam się jednak udzielić odpowiedzi na wyżej postawione pytanie – odpowiedzi twierdzącej i, czego jestem absolutnie pewien, również prawidłowej. Jeśli wątpisz w moje słowa, spróbuję Ci udowodnić, że się nie mylę. Sposobność, bym mógł to uczynić, zawdzięczam swym życiowym doświadczeniom oraz dość nietypowej jak na obecne czasy palecie mych zainteresowań. Nietypowej, ponieważ z zagadnieniami szanowanymi i akceptowanymi w dzisiejszym świecie nauki łączę swe zamięłowania z dziedziną mniej w nim poważaną (póki co). Dziedzina ta, przez niektórych uznawana za szaloną, tłumaczy to, czego żadna inna wytłumaczyć nie potrafi, w jej obliczu niemożliwe staje się możliwe, nierozwiązane rozszyfrowane, a niepoznane odkryte i przemierzone. Nie zyskała jeszcze oficjalnej nazwy. Ja zwę ją „obeologią”.

Czym jest „obeologia”? Zanim to dokładnie wyjaśnimy, zadajmy sobie jeszcze kilka innych pytań. Tych odwiecznych, tych, na które z pozoru nie da się odnaleźć odpowiedzi, jakiej poszukiwanie wydaje się być niczym innym jak kompletną stratą czasu. Bo skoro ani żadna z religii, ani nauka nie potrafią dostarczyć dowodów na istnienie Boga, duszy czy pozagrobowych krain, to czy dyskusja na ich temat rzeczywiście może mieć jakikolwiek sens?

A co, jeśli jednak Bóg istnieje, wszechświat nie powstał przypadkiem, śmierć nie kończy egzystencji, a życie ludzkie i cierpienie posiadają znaczenie oraz niezwykle ważny cel? Co, jeśli nie ma pytań, na które nie da się znaleźć odpowiedzi, a rozwiązania nawet największych tajemnic są na wyciągnięcie ręki dla każdego z nas? Co, jeśli ścieżka pełnego zrozumienia nie wiedzie ani przez żadną z religii, ani przez znaną nam obecnie naukę? Co, jeśli... prowadzi przez zupełnie inną drogę?

Ponad siedemnaście lat własnych badań poświęconych „obeologii” jest moją wędrówką przez tę właśnie „inną” drogę. Wędrówką, której nie mógłbym z powodzeniem odbywać, gdyby w jej trakcie nie przytrafiło mi się pewne trudne i złożone życiowe doznanie. To przede wszystkim dzięki niemu mogę dziś dzielić się wynikami swych ekspertyz i wykorzystywać je przy podejmowaniu prób pomocy tym, którzy tej pomocy potrzebują. Jeżeli zatem, drogi Czytelniku, droga Czytelniczko, zaliczasz się do jednej z takich osób, to mam nadzieję, że niniejsza lektura nie okaże się dla Ciebie stratą czasu i odnajdziesz w niej to, czego tak bardzo szukasz. Jeśli zaś sięgasz po nią nie po to, ażeby uzyskać ukojenie od problemów i receptę na weselsze życie, to głęboko liczę, iż

przynajmniej w jakimś stopniu zaspokoi ona Twą duchową ciekawość.

*

Czułem ogień trawiący mnie od środka – nieustanne napięcie i niezrozumiały strach bez końca przypominający mi o piekle, przez które dane mi było przechodzić. W głowie huczały mi stale powtarzające się myśli, bezlitośnie uciążliwe i za nic w świecie nie pozwalające się uciszyć. Mówiły mi, że jest źle, że musi być źle i że zawsze będzie źle. Zmuszały mnie do cierpienia i zabraniały mi się cieszyć. Sprawiały, iż zaczynałem zapominać, czym jest radość. Budziłem się po nocach złany potem, bo kiedy jakimś cudem udawało mi się zasnąć, śniły mi się koszmary.

Dwadzieścia cztery godziny na dobę trwała psychiczna pułapka, w jakiej niespodziewanie się znalazłem. Całym sercem chciałem się z niej wydostać i byłem zmotywowany, by to uczynić. Chwila, w której z pełną determinacją podjąłem ten wysiłek, była chwila, w której odpowiedziałem sobie na jedną bardzo ważne, zadane samemu sobie pytanie. Pytanie „kim jestem?”.

A jestem parapsychologiem.

Przez wychowanie w religijnej wierze, jej upadek i poszukiwanie prawdy, przez dociekliwość, podróże poza ciałem i konfrontację z podświadomym strachem, przez nerwicę lękową, bezsenność i meandry własnej psychiki, przez frustrację, wątpliwości i złamane serce, przez rozwój, zrozumienie i uzdrowienie, przez dążenie, miłość i przeznaczenie dotarłem do punktu. Punktu, w którym powstaje ta książka.

Oto historia i poznanie, o których pragnę Ci opowiedzieć.

ROZDZIAŁ I

PODRÓŻE POZA CIAŁEM

Wszystko zaczęło się miesiąc po moich siedemnastych urodzinach, na sześć i pół roku przed wydarzeniami pewnej feralnej – choć tylko pozornie, jak czas pokazał – grudniowej nocy, które stanowiły katalizator mego przyśpieszonego psychicznego rozwoju i które zrelacjonuję Ci ciut później.

Kwiecień 2005

Smacznie spałem, gdy o piątej rano zawył budzik i brutalnie wyrwał mnie ze snu. Pokręciwszy nosem, wstałem z łóżka, odsłoniłem żaluzje i chwyciłem potwornie nudny (jak dla mnie) licealny podręcznik, by jako tako przygotować się do nadchodzącej klasówki. Nie ona jednakże była powodem, dla którego zdecydowałem się wstać o tak wczesnej porze. Stanowiło go coś zupełnie innego.

Czterdzieści pięć minut upłynęło, nim, czując się dostatecznie rozbudzony, odłożyłem książkę, zasłoniłem okno i ponownie położyłem się pod kołdrę. Starając się kontrolować swe myśli, nie poruszać i relaksować najlepiej, jak potrafiłem, zamierzałem uczynić niemożliwe – usnąć, jednocześnie nie zapadając w sen.

Moje szalone wysiłki nie przynosiły upragnionego rezultatu, a czas, który dzielił mnie od konieczności wygramolenia się z łóżka i udania się do szkoły, skracał się i skracał. W pewnej chwili, straciwszy wiarę w powodzenie mego ekscentrycznego planu, porzuciłem go, przewróciłem się na bok i postanowiłem zasnąć w „tradycyjny” sposób, ażeby wykorzystać ostatnie minuty dzielące mnie od codziennych obowiązków na chociaż krótką drzemkę.

Zaraz potem zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Nad wyraz dziwne, bowiem nie tylko usłyszałem tajemniczy, narastający szum przypominający buczenie starej lodówki i moim ciałem zawładnął paraliż, ale przede wszystkim dostrzegłem swój pokój przez zamknięte powieki. Gdy spróbowałem poruszyć ręką i udało mi się ją unieść, ujrzałem także i ją. Z tym że... nie była to moja prawdziwa ręka.

Po kilkunastu sekundach zagadkowe odczucia ustały, a ja odzyskałem panowanie nad własnym ciałem. Fizycznym ciałem.

Był to pierwszy w moim życiu moment, kiedy z własnej woli trafiłem pomiędzy jawę a sen, w stan niekiedy zwany paraliżem sennym i mylnie uznawany za zaburzenie snu, którego sporadycznie doświadczałem już od wczesnego dzieciństwa i którego znaczenia długo nie potrafiłem zrozumieć. Za to, że tym razem postanowiłem osiągnąć go świadomie, odpowiadała lektura, która jakiś czas wcześniej przypadkowo wpadła mi ręce. Jedna z książek amerykańskiego parapsychologa i badacza astralnych projekcji, Roberta A. Monroe. Publikacja niebywale interesująca, zawierające opisy fascy-

nujących podróży po duchowych światach oraz niezwykle kontaktów z metafizycznymi bytami. Traktująca o doznaniu określanym jako OOB (lub OBE, ang. „out of body experience”, po polsku „doświadczenie poza ciałem”), jakie rozbudziło mą ciekawość na tyle mocno, iż postanowiłem sprawdzić, czy w opowieściach o nim znajduje się choć odrobina prawdy i czy warto jest ono mojej bliższej uwagi.

A jakże inaczej mógłbym przekonać się o tym, jeśli nie zaznając go samemu?

Maj 2005

Kilka minut przed szóstą rano odstawiłem szkolny podręcznik, zasłoniłem okno i położyłem się wygodnie w łóżku, zamierzając ponownie znaleźć się na pograniczu jawy i snu. Moje pragnienie ziściło się pół godziny później.

Osiągnąwszy pożądaną stan, zasmakowałem jeszcze więcej wrażeń niż wówczas, gdy uzyskałem go ostatnim razem – nie tylko usłyszałem narastający szum przypominający buczenie starej lodówki i moje ciało opadło bezwład, ale poczułem w nim również silne drżenie. Nie były to mięśniowe drgawki, jakich doświadczyć można pod wpływem strachu lub po ciężkim wysiłku fizycznym, lecz niedokuczliwe, opływające mnie od stóp aż po głowę i nieznane mi wcześniej wibracje. Za ich sprawą nagle doznałem, jak odrywam się od swego ciała i unoszę aż do sufitu.

Lekko oszołomiony widokiem śpiącego poniżej samego siebie, przeleciałem przez ścianę i trafiłem do przedpokoju. Wyglądał dokładnie tak, jak wyglądał zawsze.

Moment potem obudziłem się we własnym łóżku.

Tego ranka nie wydarzyło się nic, co dostarczyłoby mi niezbitych dowodów, iż faktycznie opuściłem swoje fizyczne ciało, a mimo to przeżyłem w jego trakcie coś, co na zawsze odmieniło moje spojrzenie na świat i otaczającą mnie rzeczywistość. Nie miałem wątpliwości, że to, czego doświadczyłem, nie było wytworem mojej wyobraźni. Nie miałem wątpliwości, że naprawdę wyszedłem poza swą cielesną powłokę.

Nigdy wcześniej nie zaznałem niczego równie niezwykle jak wówczas, kiedy pierwszy raz uzyskałem stan OBE. Wrażeń, które zapewniła mi ta magiczna chwila, wyrazić nie potrafię, język słów nie jest bowiem na tyle zaawansowaną formą przekazu, bym, korzystając z jego ograniczonych zasobów, mógł się o to pokusić. Wszystkie przeżycia towarzyszące procesowi prowadzącemu do eksterioryzacji (czyli podróży poza ciałem) oraz jej samej nie przypominają żadnych innych, z którymi można mieć na Ziemi styczność, i do żadnych innych porównać ich nie sposób.

Udana astralna projekcja wzmocniła moje zainteresowanie parapsychologią i sprawiła, że mój apetyt na pozacielesne wojaże znacząco wzrósł. Jedno to czytać, czym jest wyjście poza ciało, drugie doświadczyć go samemu. Wyjście, które, co ciekawe, poniosło za sobą dość nieoczekiwaną konsekwencję. Okazało się, iż dokonując niefizycznej podróży, przekroczyłem wrota, za którymi nie dało się już zawrócić. Od tego albowiem momentu stany transu (chwile, kiedy moje ciało zasypiało, a umysł pozostawał świadomy) zaczęły przytrafiać mi się samoistnie (o wiele, wiele częściej niż w dzieciństwie), bez mojej ingerencji i o różnych porach doby, nie

tylko wczesnym rankiem, ale również późnym wieczorem, w nocy i w ciągu dnia, jeśli decydowałem się uciąć sobie popołudniową drzemkę. Z początku zdarzało się, że odbierałem to negatywnie – nie zawsze miałem ochotę na świeżą dawkę astralnych wrażeń, czasami wołałem po prostu dobrze się przespać – szybko jednak doceniłem wynikające z tego korzyści. Mogąc częściej i przy mniejszym wysiłku uzyskiwać OBE, mogłem przecież szybciej poznawać astralny świat. A pozacielesne eksploracje zawsze pozytywnie wpływały na moje ogólne samopoczucie i podejście do życia, regularnie i z coraz większą siłą uwalniając uśpioną we mnie przez dłuższy czas energię.

Mimowolne stany transu, w które nierzadko „wpadałem”, kiedy próbowałem zasnąć, dając mi dodatkowy i istotny impuls do prowadzenia parapsychicznych odkryć, nie oznaczały aczkolwiek, iż wywoływanie projekcji astralnych przychodziło mi łatwo i nie wymagało wielu moich starań oraz zaangażowania. Nie wystarczyło, że jedną z nich już odbyłem, jeśli nie do końca wiedziałem, jak naprawdę tego dokonałem. By nie pozostawiać nauki osiągnięcia OBE wyłącznie przypadkowi i by nie trwała ona wiecznie, w dalszym ciągu rezygnowałem więc z wysypiania się i wstawałem wcześniej rano. Dlaczego starałem się praktykować eksterioryzację o takiej właśnie porze? Z bardzo prostej przyczyny. Otóż już na samym początku mojej ezoterycznej przygody zrozumiałem, iż stan transu, będący bramą do astralnej rzeczywistości (nie jedyną, jak się po latach przekonałem), zdecydowanie najprościej jest uzyskać, budząc się po kilku godzinach porządnego snu – przede wszystkim z tego powodu, że wypoczęty umysł znacznie lepiej radzi sobie z zachowywaniem kontroli nad procesem zasypiania niż umysł zmęczony. Samo wsta-

wanie o piątej rano nigdy jednakże nie gwarantowało mi możliwości doświadczenia OBE. Takową zyskać mogłem jedynie wówczas, gdy, przebudziwszy się nie w pełni wyspany, stosowną ilość czasu (z reguły około czterdziestu pięciu minut) przeznaczyłem na dostatecznie silne rozbudzenie się (w innym wypadku prawie każdy zamiar przeprowadzenia eksterioryzacji kończył się szybkim zaśnięciem). O ile po takich zabiegach zapadanie w trans zazwyczaj odbywało się u mnie bez większych powikłań, o tyle na trudności natrafiałem dopiero później, w chwilach, w których przychodziło mi oddzielić się od fizycznego ciała. W tamtym okresie nie potrafiłem jeszcze skutecznie tego dokonywać i często sprawiało mi to poważny kłopot.

Po kilku nieudanych próbach przedostania się do astralnego świata, pewnego razu ktoś zaofiarował mi nieoczekiwaną pomoc.

Maj 2005

Rozbudziwszy się jak należy, przed szóstą rano wskoczyłem wygodnie do łóżka i około czterdzieści minut później wszedłem w trans. Zaraz, gdy to się stało, wyczułem w swoim pokoju czyjąś obecność. Nic nie widziałem ani nic nie słyszałem. O tym, że nie przebywałem sam, informował mnie nieznany mi wcześniej mentalny zmysł, który właśnie odkryłem.

Tajemnicza istota po chwili położyła mi dłoń na ramieniu i poczułem jej przyjazny dotyk. Kimkolwiek była, nie budziła we mnie żadnego strachu.

– Pomóż mi wyjść z ciała – po krótkim zastanowieniu wypowiedziałem do niej w myślach.

*Moja prośba została spełniona. Przybysz łagodnie pociągnął mnie za plecy i sprawił, że bez trudu ode-
rwałem się od fizycznego ciała. Na tyle gwałtownie
jednak, iż przefrunąłem przez sufit i wyleciałem poza
swoje cztery ściany, w niekontrolowanym tempie wpa-
dając w zagadkową i czarną jak smoła przestrzeń.
Przestrzeń, w której widziałem mój oddalający się z
każdą sekundą pokój, moje śpiące materialne ciało
oraz mego lewitującego nad nim sprzymierzeńca – ja-
sną kulę światła przypominającą miniaturowe słońce.*

*Zmierzając nie wiadomo dokąd, nagle zaniepo-
koilem się i postanowiłem przerwać swą podróż. Wy-
raziwszy taki zamiar, z łatwością przebudziłem się w
fizycznym świecie.*

Okazało się, iż asysta, której udzielił mi astralny pomoc-
nik, nie była jednorazowym wsparciem, na jakie mogłem
liczyć, praktykując OBE. I nie tylko w trakcie przenoszenia
się do astralnej rzeczywistości, ale przede wszystkim w niej
samej. Mój przewodnik, czego długo zupełnie nie rozumia-
łem, postępował w niezwykle przemyślany sposób. Nie zaw-
sze przybywając na moje zaproszenie, a czasami zjawiając
się, kiedy wcale go o to nie prosiłem, skrupulatnie oceniał, w
jakich pozacielesnych sytuacjach naprawdę potrzebuję jego
pomocy, a w jakich powinien usunąć się na bok i pozwolić
mi działać samemu. Innymi słowy – prowokował takie sce-
nariusze astralnych zdarzeń, które jego zdaniem najbardziej
efektywnie były w stanie wpływać na dokonywane przeze
mnie poznawcze postępy. Dziś śmiało mogę stwierdzić, że
robił to znakomicie.

Nie on jeden, jak z biegiem czasu przyszło mi się dowiedzieć, czuwał nad moimi ezoterycznymi badaniami. Prowadząc je, stykałem się z wieloma innymi metafizycznymi opiekunami, istotami nazywanymi przez religie aniołami. Choć ta z nich, w której ja się wychowałem, zakazując eksterioryzacji, zapewne określiłaby je odmiennym mianem.

I być może ja również bym to uczynił. Gdybym kilka lat wcześniej nie odrzucił jej i nie postanowił na własną rękę poszukiwać prawdy. Gdybym nie odstawił dogmatów w kącie i nie podjął samodzielnych duchowych rozważań. Gdybym nie przestał wierzyć i nie zaprzagnął wiedzieć.

Maj 2005

Wczesnym rankiem wprowadziłem się w trans i, posługując się świeżo poznaną metodą opuszczania ciała, spróbowałem przekrócić się w bok. Udało mi się to i z powodzeniem „przetoczyłem” się do astralnego świata.

Zamierzałem udać się znacznie dalej niż dotychczas i dokonać dużo więcej – wybrać się do znajomej osoby, by odwiedzić ją w jej własnym domu. Nie tracąc więc czasu i cennej szansy, przeleciałem przez zamknięte okno i wyfrunąłem na podwórko. Rozejrzawszy się po okolicy i uznawszy, że wszystko wokół wygląda dokładnie tak, jak wyglądać powinno, zaraz potem wzbiłem się wyżej i niczym ptak poszybowałem pomiędzy blokami, mijając kilka ulic i szalenie podekscytowany docierając do wyznaczonego przez siebie celu.

Prawie docierając. Bo na moment, nim zdążyłem do niego wlecieć, moja projekcja astralna urwała się i obudziliśmy się we własnym łóżku.

Podobna historia przydarzyła mi się jeszcze kilkakrotnie w nieodległej przyszłości. Za każdym razem, gdy próbowałem dostać się do określonego miejsca i obejrzeć je z pozacielesnej perspektywy, moja eksterioryzacja kończyła się na krótko przed „metą” i rozczarowany budziłem się w fizycznym świecie. Tak jakby ciążyło na mnie jakieś niepojęte i dziwaczne astralne fatum. Co sprawiało, że me zwariowane poranne wojaże nie przebiegały w pełni po mojej myśli i uciwały się w gwałtowny i irytujący dla mnie sposób? Odpowiedź na to pytanie była bardzo prosta.

Ale wtedy jeszcze jej nie znałem.

Maj 2005

Przed szóstą zasłoniłem okno, poprawiłem posłanie i położyłem się wygodnie w łóżku.

Przez godzinę kompletnie nic się nie działo. Kiedy już nabierałem obaw, że tym razem nie uda mi się doświadczyć OBE, nagle usłyszałem znajomy szum imitujący buczenie lodówki mojej babci i poczułem, jak zapadam w trans. Chwilę później pomyślnie przeturlałem się na bok i bez większych trudności opuściłem swe fizyczne ciało.

Ciesząc się nieograniczoną wolnością, wyleciałem na podwórko, po czym skręciłem między blokami i popatrzyłem nad ulicą. Minąłem dwa skrzyżowania. Wysokie drzewo z rozłożystą koroną wznoszące się przy jednym z nich wprowadziło mnie w zadumę. Nie bez powodu. W materialnym świecie setki razy wcześniej mijalem miejsce, w którym właśnie się znajdowało, i byłem pewien, że nic na nim nie rośnie.

Niedługo potem poczułem, iż mój czas poza ciałem dobiega końca i ocknąłem się w łóżku.

Drzewo, które zobaczyłem podczas przelotu nad pobliską ulicą, zaprzętało moją głowę dopóty, dopóki tego samego ranka w drodze do szkoły nie ujrzałem go ponownie, dokładnie tam, gdzie zarejestrowałem je astralnym wzrokiem. Choć zdarzenie to, rzecz jasna, nie stanowiło dla mnie żadnego dowodu, że rzeczywiście opuściłem swe fizyczne ciało – owo drzewo, mimo że nigdy nie zwróciłem na nie najmniejszej uwagi, mogłem przecież zapamiętać podświadomie – to wspomnienie o nim umacniało moje przekonanie, iż słusznie i nie na darmo poświęcam astralnym ekspedycjom swój czas oraz zainteresowanie.

Nawet wówczas, gdy zaczęły występować w nich faktyczne względem świata materialnego wizualne rozbieżności.

Maj 2005

Odłożyłem szkolny podręcznik i wskoczyłem pod koldrę, by jakiś czas później wejść w trans i wydostać się poza fizyczne ciało.

Znajdując się w astralnej rzeczywistości, wyfrunąłem z mieszkania i poszybowałem po okolicznym osiedlu. Nie było to jednak dokładnie to samo osiedle, które spodziewałem się zobaczyć i które znałem od dziecka. Wyglądało inaczej. Zupełnie inaczej.

Lekko zdezorientowany opadłem na ziemię i, tak jak w ziemskim świecie, pomaszerowałem po chodniku, penetrując nieznaną mi rejon i ni stąd, ni zowąd trafiając do gęsto zalesionego parku. Jeszcze bardziej dziwnie poczułem się, gdy spacerująca w nim kobieta wy-

kryła moją obecność i uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

Od tego momentu moje astralne postrzeganie uległo istotnej zmianie. Uzyskując stan OBE, zacząłem spotykać różne osoby i wchodzić z nimi w interakcje oraz odwiedzać obszary, jakich próżno mógłbym szukać na Ziemi i jakie z miejscami znanymi mi z codziennego życia tworzyły jeden wspólny świat. Pozacielesne wypadki w krótkim czasie stały się zatem dla mnie prawie tym samym, czym było dla mnie świadome śnienie.

Ze świadomymi snami, czyli snami, w trakcie których zdawałem sobie sprawę z tego, że śnie, rzadziej lub częściej styczność miałem niemal od zawsze, już od wczesnego dzieciństwa doświadczając ich zupełnie przypadkowo i bez żadnych starań. Uwielbiałem je i kochałem wrażenia, jakich mi dostarczały. Kochałem jednak nie na tyle, by wstawać pięć razy w tygodniu o piątej rano i stale chodzić niewyspany. Nie, to nie z miłości do nich poświęcałem swój czas i z determinacją wkraczałem w pozagrobowe sfery. Wkraczałem w nie, ponieważ chciałem je poznać. I upewnić się, że się nie pomyliłem i że istnieją one naprawdę.

One i wszystkie pomieszkujące w nich byty.

Czerwiec 2005

Późnym wieczorem leżałem w łóżku i rozmyślałem na temat moich ezoterycznych przygód, kiedy w pewnej chwili przyszedł mi do głowy pomysł, by nawiązać kontakt ze swoim zmarłym dziadkiem. Pierwszy, prawdziwy raz. Odszedł, gdy miałem trzy lata, nie zdążyłem więc go zapamiętać i stosownie poznać.

Nie wiedząc, jak skutecznie odnaleźć konkretną osobę w nieskończenie wielkim niematerialnym uniwersum, poszedłem na łatwiznę i ułożyłem w myślach krótkie zaproszenie, po czym wysłałem je mentalnie, licząc, iż jego adresat odbierze moją wiadomość i po prostu do mnie przybędzie. Jako że przez następnych kilkanaście minut nie wydarzyło się kompletnie nic, po ich upływie przekręciłem się na bok i, uznając swój pomysł za idiotyczny, poszedłem spać.

Zaraz po tym, jak zasnąłem, a ściślej mówiąc, zasnęło moje ciało, błyskawicznie wykryłem czyjąś obecność w moim pokoju i poczułem kilka silnych szarpnięć w tułowi. Bez pardonowych i wyjątkowo nieprzyjemnych.

Zanim zdążyłem domyślić się, co jest grane, doznałem kolejnego ataku, jeszcze bardziej drapieżnego. Ktoś, nie odpuszczając, targał mną zaciekle i zadziornie próbował wyciągnąć mnie z ciała. Ktoś, kto bez dwóch zdań nie był moim dziadkiem, i ktoś, kto z taką samą pewnością nie miał w stosunku do mnie przyjaznych zamiarów.

Zareagowałem jak potrafiłem i przystąpiłem do obrony. Mój przeciwnik nie dawał za wygraną, ale nie dawałem za nią również i ja. Z całych sił starając się utrzymać w swym ciele i czym prędzej obudzić je ze snu, po intensywniej, trwającej dłuższy moment szamotaninie w końcu zdołałem wyrwać się z uścisków i przerażony ocknąłem się w fizycznym świecie.

Słyszałem w życiu wiele historii na temat efektów, jakimi skutkują próby przywoływania duchów, ale do czasu, w któ-

rym samodzielnie i nie w pełni świadomie podjąłem jedną z nich, brzmiały dla mnie jak wysrane z palca bzdury. No cóż, skoro w astralnych sferach istniały anioły, to czemu miałyby nie istnieć w nich także i demony?

Czerwiec 2005

Wskoczyłem do łóżka krótko po dwudziestej drugiej, zamierzając szybko usnąć lub – jeśli nadarzyłaby się ku temu okazja – doświadczyć OBE. Minęło już kilka dni od mojego нефizycznego starcia i nie robiło już ono na mnie większego wrażenia. A przynajmniej nie robiło go, kiedy byłem na jawie.

Los mi dopisał. Nie wysilając się w żaden sposób, dwadzieścia minut później zapadłem w głęboki trans i opłynęła mnie łagodna fala energii. Nie tylko jedna działająca na moją korzyść okoliczność – z wibracjami zawsze łatwiej było opuścić ciało.

Nikt mną nie szarpnął, nikt mi nie zagroził, nikt w złej intencji do mnie nie przybył. Wszystko to, co sprzyjało mi w tym krótkim, na wpół astralnym, na wpół fizycznym momencie nie miało jednak większego znaczenia. Nie miało go, ponieważ nie wykorzystałem swojej szansy.

I zawróciłem, zamiast postąpić naprzód.

Tak właśnie po raz pierwszy i w ograniczonym stopniu zyskałem dostęp do świata podświadomości – siedliska nierozwiązanych spraw i zatajonych doznań, w którym kilka lat później przyszło mi stoczyć ekscytującą, bezcenną i pełną zwrotów akcji batalię. Przekonania nie miały w nim żadnej mocy, liczyły się jedynie surowe emocje, pośród których

niepodzielnie i nieprzejednanie panowała wówczas tylko jedna z nich – strach. To on, nocny, przesadnie czujny strażnik, nieubłagany i na wskroś odporny na perswazję, pojawiający się znikąd i równie nagle znikający, niby niewidoczny, lecz w godzinach swego czuwania stale obecny, bez słowa wyjaśnienia odsyłał mnie wstecz za każdym razem, kiedy stając na granicy dwóch rzeczywistości, stawałem jednocześnie i naprzeciw niego. Nie potrafiąc w żaden sposób się z nim rozprawić ani mu się przeciwstawić, przekraczałem więc ją tylko wtedy, gdy go na niej nie było.

Pierwszy rok, drugi, trzeci. A potem czwarty.

Wrzesień 2009

Krótko po świcie wstałem z łóżka i, rozbudziwszy się, położyłem w nim ponownie. Minęła dobra godzina, nim zapadłem w trans.

Obyło się bez szumu i wibracji, których doświadczałem już rzadko. Te drugie zresztą nie były konieczne – poza ciałem wydostałem się z łatwością, swobodnie przewracając się na prawy bok.

Nie przypadkiem zamierzałem uzyskać OBE. Właśnie zmarł mój drugi dziadek i chciałem sprawdzić, jak radzi sobie w nowej rzeczywistości. Mając silną motywację oraz, co ważne, już jako-takie pojęcie na temat astralnej nawigacji, skupiłem się więc jak tylko mogłem, gdy zawisłem nad podłogą, i wypowiedziałem w myślach jego imię.

Z mego ciemnego, szczelnie odgradzonego od światła pokoju chwilę później przeniósłem się na słoneczną, morską plażę. Wśród przebywających na niej osób, a

było ich całkiem sporo, ku mojemu rozczarowaniu nie dostrzegłem jednak swojego dziadka.

Podążając wzdłuż łagodnie falującej wody i podziwiając okolicę, do której trafiłem, nagle usłyszałem za plecami własne imię i znajomy głos. Odwróciwszy się, ujrzałem pogodnego, młodego mężczyznę siedzącego na piasku i machającego do mnie ręką. Przyjrzawszy mu się dobrze, rozpoznałem go natychmiast i tak samo szybko zrozumiałem, dlaczego nie udało mi się zrobić tego wcześniej. Mężczyzna ten nie wyglądał bowiem tak, jak go zapamiętałem, gdy kończył swój fizyczny żywot. Wyglądał, jakby miał pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat mniej.

Dziadek przywitał mnie po swojemu i polecił, bym się do niego dosiadł. Nie był zaskoczony moją wizytą.

Dokonując astralnych podróży, nigdy nie uświadczyłem żadnych trudności z powrotem do świata materialnego. Nigdy. I zdecydowanie bardziej wolałem odbywać je w nocy, bez większych poświęceń, bez konieczności wstawania o piątej rano i rezygnowania z długiego snu.

Kiedy jednak przychodziło co do czego, nie miało to większego znaczenia.

Listopad 2009

Późnym wieczorem położyłem się do łóżka godzinę wcześniej niż kładłem się w nim zazwyczaj. Lęk powrócił w tej samej chwili, w której powiódł się mój zamiar i udało mi się wejść w trans.

Zebrawszy w sobie niewielką dawkę odwagi (w końcu!), wyturlałem się z ciała i opuściłem swój po-

grążony w mroku pokój przez pochyły dach, nie wylatując jednakże na podwórko, jak mogłem tego oczekiwać, lecz wpadając w nieprzeniknioną i pejoratywnie pobudzającą mą wyobraźnię czerń.

Gdy przez nią mknąłem, strach, któremu moment temu się oparłem, pokonał mnie bez trudu.

Nieustannie temperująca me pozacielesne zapędy bojaźń, do walki z którą z zaledwie umiarkowanym powodzeniem po długim czasie wystawiłem swój upór i swą ciekawość, nie stanowiła dla mnie przeszkody, o czym wkrótce przyszło mi się przekonać, wyłącznie w trakcie mych nocnych astralnych wypraw, ale także i tych odległych.

Styczeń 2010

Zbudziłem się w środku nocy i, próbując zasnąć ponownie, przypadkowo zapadłem w trans. Zorientowawszy się, iż z łatwością „odklejam” się od fizycznego ciała, postanowiłem opuścić je inaczej niż zwykle i, zamiast przekreślić się w bok, pchnąłem się wzwyż.

Ułamek sekundy później, nie unosząc się łagodnie ponad własne łóżko, na co liczyłem i czego dokonać zamierzałem, pioruńsko zaskoczony i jeszcze bardziej zszokowany wystrzeliłem w niebo i szaleńczo, abstrakcyjnym dla materii oraz znacznie przekraczającym wszelkie moje dotychczasowe astralne wyobrażenia pędem poszybowałem w kosmos. Mimowolnie, bez jakiegokolwiek kontroli i piekielnie daleko, bo nie do gwiazd, lecz galaktyk, miliony, a może nawet miliardy razy szybciej niż porusza się światło.

Ma niespodziewana i fascynująca pozaziemska podróż nie trwała jednak długo – strach kolejny raz stanął mi na drodze. Sunąc przez rozjarzony i niekończący się wszechświat, nagle przeraziłem się, iż za bardzo oddalam się od swego fizycznego ciała i zdecydowałem się do niego wrócić. Zaraz potem, nie tylko rozczarowany, ale i sfrustrowany podjętą przez siebie decyzją, obudziłem się w łóżku.

W ciągu następnych paru miesięcy odbyłem jeszcze kilka podobnych kosmicznych wojaży i każdy z nich skończył się dokładnie w ten sam sposób. Mając ku temu wyśmienitą i nader rzadką (bądź jak kto woli – urojoną) sposobność, nie mogłem swobodnie przemierzać gwiazdno-galaktycznych przestrzeni, nie mogłem badać odległych zakątków wszechświata, nie mogłem szukać jego granic oraz pozaziemskich cywilizacji. Nie mogłem, ponieważ udaremniała mi to nieustępliwa i za cholerę nie dająca się sforsować mentalna blokada. Zmuszając do porzucenia szansy na realizację jednego z najbardziej szalonych dziecięcych marzeń, które nagle i nieoczekiwanie stawało się możliwe do spełnienia, dla osoby takiej jak ja, kogoś, kto od zawsze interesował się astronomią i ekscytował kosmosem, stanowiła ona szczególnie, trudny do zignorowania problem.

Problem, którego nigdy bym nie rozwiązał, gdyby w pewnym momencie z pomocą... nie przyszło mi życie.